

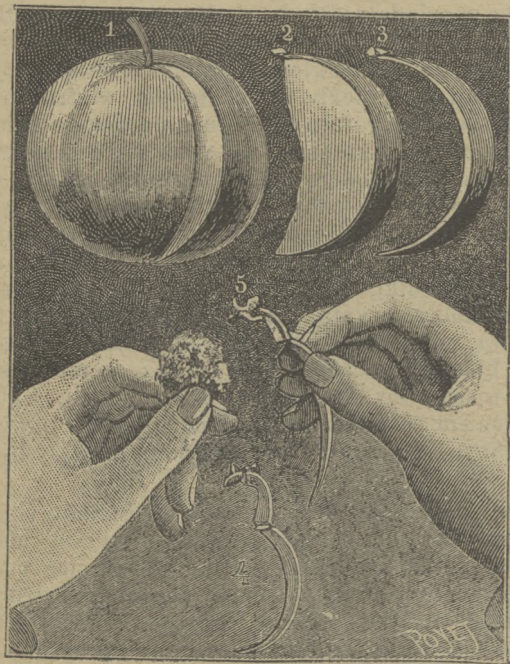


TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



DOŚWIADCZENIE FIZYCZNE.

Podawaliśmy niezwykle sposoby krajania jabłek; teraz znów przedstawiamy małe doświadczenie z rozcięciem jabłkiem, zasługujące już na nazwę naukowego, gdyż wykazuje prawo przyrody, zwane sprężystością, elastycznością. Wycinamy małą częśćkę jabłka, jak wskazuje fig. 1, obiera-

my ją ze skórki, pozostawiając przy tój skórcie tyle miękiszu, aby nie była zbyt cienka. Trzeba także, przy wycinaniu częśćki jabłka, nadciąć zarazem kawałeczek ogonka, który sterczy przy skóreczce u góry. Teraz przełamujemy tę skórkę nawpół i zginamy, nadając jej kształt jak wskazuje fig. 4. Nareszcie bierzemy w dwa palce prawej ręki tak przygotowany kawałeczek skórki, ściskamy ją mocno, podniósłszy wprzód do góry wyższy kawałeczek z odrobiną ogonka; następnie puszczaemy, a skóreczka, ulegając prawu sprężystości, rozprostowuje się, wyższy kawałeczek się pochyla. Ściskając tak i puszczaając kolejno skórkę, można urządzać rodzaj widowiska. Nazwijmy np. naszą skóreczkę kurką, podawajmy jej drugą ręką jedzenie, przemawiajmy do niej: „jedz, kureczko, czy dobre?... co to, już nie chcesz?” i t. d. ta poruszająca się skóreczka wyglądać będzie naprawdę, jakby dziobek jakiś, usiłujący chwycić żywność.

WIŚNIE KSIĘDZA PROBOSZCZA.

Z opowiadania księżny Kantakuzen Altieri.

(Dokończenie).

Myśli p. Eleonory powróciły znowu do tych wisien. Odwinęła ostrożnie przykrywający je liść kapuściany; jakież te wiśnie były śliczne, rumiane, soczyste, przezrocyste! Za nic w świecie nie zjadłaby ich sama, dla własnej przyjemności, a raczej dla tego właśnie by ich nie zjadła, ażeby sobie większą przyjemność zapewnić, rozkosz obdarzenia kogoś!

Dzisiaj właśnie miała odwiedzić młodą dziewczynę, dla której ten piękny dzień słoneczny mógł być ostatnim dniem życia. Choroba jej piersiowa postępowała powoli, wyglądała nieboga, jak lampa gasnąca z braku oliwy. Sama jedna była na świecie, tak jak i panna Eleonora, nikt z bliskich nie czuł nad nią, nie opuściły jej jednak dusze miłosierne. Zresztą, dziś już tak niewiele potrzebowała!... trochę mleka świętego, owoców, a te najlepiej lubiła; o, jakże w porę p. Eleonora dostała te wiśnie, z jaką radością ofiaruje je biednej chorującej, aby jej sprawić choć chwilową przyjemność!

Rozjaśniły się oczy Rozalii, tak się nazywała chora dziewczyna, gdy ujrzała wchodzącą swoją opiekunkę i dobrodziejkę. Witaa ją co rano wraz z promieniem słonecznym, zaglądnąjącym do jej ubogiej izdebki. Wyciągnęła do niej wychudłą, przezroczystą rękę.

— Patrzo, Rozalko, co ja ci tu przynoszę — rzekła z uśmiechem p. Eleonora — ucieszysz się niezawodnie. Oto wiśnieki; dojrzały z łaski Bożej wcześniej od innych, abyś jeszcze na tej ziemi pokosztowała ich smaku, nim odejdziesz do błogosławionej krainy, gdzie niema zimy, gdzie kwiaty nie więdną w wiecznej wiosnie, a łzy i cierpienia nie zakłócają szczęśliwości wybranych.

Rozalia podniosła na nią wzrok pełen wdzięczności. P. Eleonora położyła wiśnie tuż przy niej, posiedziała z godzinę, a gdy odeszła, słowa jej długo jeszcze brzmiały w uszach i w sercu chorującej, jak dźwięk chórów niebiańskich. Spoglądała na wiśnie z rozrzwinięciem, ale ich nie tknęła.

— Co to znaczy, że Antoniowa nie przychodzi? — szepnęła wreszcie i jednocześnie prawie wykrzyknęła radośnie, gdyż drzwi otworzyły się z cicha i weszła staruszka uboga ubrana.

— Spóźniłam się dziś trochę — rzekła wchodząca — ale nie moja to wina, naprawdę, choć słonko Boże tak pięknie świeci i grzeje, trudno już rozgrzać stare moje kości. Tak mi ten niegodziwy reumatyzm dokucza, że ruszyć się czasem trudno i zanim się uporałam w domu... No, ty mi wybaczysz, kochanko, w moim wieku nie żał chorować, ale za co ty cierpisz, biedne jagniątko...

— Nie żałujcie mnie, Antoniowo, wszyscy są tacy do brzy dla mnie, wyście mi tyle serca okazali, jak matka rodzona, a ja wam przecież obcą jestem, nie macie żadnego obowiązku czuć przy mnie po całych nocach, dawać mi mleko!...

— Ta ta ta! Co za gadanina niedorzeczna — wołała staruszka — ciekawam, co jabym miała lepszego do roboty? Stara już jestem, pracować nie mogę, a czy tu przy tobie czy w swojej izdebce kądziel przędę, to mi przecież wszystko jedno, ty mi nie przeszkadzasz.

— Antoniowo — mówiła chora słabym głosem — ja mam prośbę do was. Nie odmówcie mi, nieprawdaż?

— Nic ci nie odmówię, ptaszyno moja kochana, jeżeli to tylko jest w mojej mocy.

— Idzie tylko o to, moja dobra Antoniowa, ażebyście przyjęły odemnie coś, co ja wam ofiarować pragnę. Nigdy nie chcieliście nawet pokosztować tych wszystkich przysmaków, które mi przynosi p. Eleonora. Ale dziś nie odmówcie tej prośbie, zapewne ostatniej...

— Co też ty mówisz, kochanko; dziś lepiej daleko wygładasz, musisz być zdrowsza, musiała ci toż samo powiedzieć i p. Eleonora.

— P. Eleonora nigdy mnie nie oszukuje, ona mi zawsze całą prawdę mówi, bo wie, że ja się śmierci nie lękam, przeciwnie proszę szczerze Boga, aby cierpienia moje skrócił i wasze trudy zakończył. Bóg miłosierny przyjmie mnie do królestwa swego, gdzie wieczne szczęście panuje. Ale wyście przyrzekli spełnić ostatnią moją prośbę, więc i te wiśnie, które mi p. Eleonora przed chwilą przyniosła. To wiśnie niezwykłe, wcześniej od innych dojrzały, patrzcie, jakie piękne. Przyjmcież je odemnie, moja droga Antoniowa, przyjemność mi sprawicie.

— Co, jabym miała wiśnie zjadać? Co też ty mówisz,

gołąbko ty moja! Co mnie starzej po takich przysmakach, a ciebie ten owoc soczysty orzeźwi.

Chora ze smutkiem na nią spojrziała:

— Odmawiacie mi, Antoniowa, to niedobrze — rzekła — wy jeszcze doczekacie, jak inne, zwyczajne wiśnie dojrzeją, ja już tego nie zobaczę. Ale przypomnicie sobie wtenczas biedną Rozalkę i żał wam będzie, żeście nie chcieli jej ostatniej prośby spełnić i sprawić ostatniej pociechy w dniu śmierci. A przecież wybyście powinni lepiej od innych rozumieć, że przyjemniej jest dawać, aniżeli brać...

— No no, już dobrze, gołąbeczko moja — mówiła stara, powstrzymując łzy — wezmę twoje wisienki, a muszę być smaczny! Ho ho! ja tu już ślinkę polykałam, jak tylko je spostrzegłam na stoliczku; myślałam sobie: czemu to ja nie zachoruję, żeby p. Eleonora i mnie takie przysmaczki zносиła. Dziękuję ci, kochanko, dziękuję, jeżeli ci to taką przyjemność sprawia, że mi je dajesz, to i ja także z przyjemnością wielką ten dar serdeczny od ciebie przyjmuję.

— O, jakże to dobrze, jak ja się cieszę... — tu kaszel gwałtowny przerwał mowę chorującej, opadła osłabiona na poduszki, lecz po chwili skinęła na staruszkę i szepem prawie, bo głosu dobyć nie mogła z piersi, do ucha jej powiedziała:

— Jeszcze jedną łaskę musicie mi wyświadczyć, Antoniowa. Ja umieram, niema co obwiązać w bawełnę. Pójdźcie po księdza proboszcza, on prawdziwie i sam dziś przyjsć obiecał, ale mógłby się opóźnić, a tu czas nagli... Przepraszam was bardzo za ten trud ostatni, teraz już niezadługo odpoczniecie, Bóg wam zapłaci, Bóg zapłaci za dobroć waszą dla sieroty. Ach! takbym chciała, żeby ksiądz proboszcz przyszedł prędzej...

— Przyjdzie, kochanko, przyjdzie idę prosto na plebania — i mówiąc to, Antoniowa zabrała wiśnie owinęła je starannie liśćmi, zamknęła starannie drzwi za sobą i powlekła się na plebania. Staruszka nie mogła przyspieszyć kroku, co chwila musiała odpoczywać, przysiadła wreszcie na kamieniu granicznym przy drodze.

Siedząc spoglądała dokoła na ten piękny świat Boży na pola zielone, gdzie już młodziutkie kłosa podnosiły główki ponad ździebełkami wysmukłemi, na lny o kwiatkach niebieskich, kołyszących się lekko za powiewem wiatru, na kępy drzew, w których świegotało ptactwo, niosące do gniazd pożywienie. Poczciwa Antoniowa była już stara, a jednak nie miała jeszcze ochoty umierać, nie doznawała na tym świecie rozkoszy, a pomimo to żalby jej było życia. Z westchnieniem myślała o tej młodej dziewczynie, umierającej wśród wiosny, gdy wszystko budzi się do życia. Przywiązała się serdecznie do Rozalki, bo ludzie zwykle przywiązują się do tych, którym dobrze czynią. A potem Rozalka była tak dobra, cierpliwa, wdzięczna, prawdziwie anielskie miała serce. Jakżeż jej było nie kochać? Oto i teraz wyrzekła się tych wybornych wisien, aby obdarzyć niemi staruszkę. Antoniowa z rozrzwinięciem patrzyła na rumiane jagody, odwinawszy liść kapuściany. Wyglądały tak ponętnie, musiały być takie soczyste!

Słońce południowe przygrzewało dość silnie. Staruszka była znużona, usta jej zaschły od upału i kurzu, mogła się orzeźwić soczystymi wiśniami, miała je przecież pod ręką. O nie! do czegożby to było podobne? Ta anielska dziewczyna wyrzekła się smacznych jagódek, aby pocziwemu sercu dogodzić, a ona miałaby być tak żarłoczną i przysmaki podobne zjadać po drodze! Toż byłoby łakomstwo niedarowane, znajdzie się przecież ktoś godniejszy takiej ofiary. A i szukać daleko nie potrzeba, któż mógł być godniejszym tego daru od księdza proboszcza?

— Zaczny proboszcz już także podeszły jest w latach i cierpi nierzad na reumatyzm, a pomimo to z jaką nieustrudzoną gorliwością spełnia obowiązki swoje! Nie zważa nigdy na deszcz, niepogodę, zimą nawet mróz i śnieg go nie powstrzymuje, gotów każdej chwili, czy w dzień, czy w nocy, na wezwanie parafian. A jaki miłosierny i dobroczynny. Ostatni grosz oddaje nędzarzom, stara Janowa, gospodyni probos-

szcza, zrzedzi i gderze przed znajomymi, że nic przez niego w domu utrzymać nie można, żadnego porządku niema, ani w kredensie, ani w spiżarni, bo wszystko porozdaje. Biedna Janowa rady sobie dać nie może, ksiądz proboszcz nigdy nie ma pieniędzy na wydatki domowe, jak mięsa zabraknie, każe gotować z postem, a i poskarżyć się niepodobna, bo zawsze najlepsze i najmniejsze kawałki dla niej zostawia, powiadając, że on ma jeszcze mocniejsze zęby.

— Tak, tak, musi ksiądz proboszcz zjeść te wisienki, niech mu będą na zdrowie — mówiła stara sama do siebie — byle tylko nie oddał większej części Janowej!

Dowlokła się wreszcie na plebanią o dwunastej godzinie, właśnie dzwonek uderzył na Anioł Pański, Antoniowa zatrzymała się i odmówiła trzy Zdrowaś za dusze zmarłych.

— W samą porę przychodzę — pomyślała — ksiądz proboszcz siada pewnie do obiadu, ani się spodziewa, jaki pyszny deser mieć będzie.

Weszła bocznymi drzwiami do kuchni.

— Jak się macie, Janowa; czy ksiądz proboszcz jeszcze nie po obiedzie?

— Postawiłam właśnie wazę na stole — odpowiedziała gospodyni.

— To dobrze, poczekam tu sobie, aż się obiad skończy.

Ale drzwi od pokoju jadalnego na wprost były otwarte, ksiądz proboszcz usłyszał głos obcej kobiety i zawołał na Janową.

— Kto tam jest w kuchni? — zapytał.

— Antoniowa.

— Czy potrzebuje czego?

— Jakiś interes ma do księdza proboszcza, ona poczeka.

— Poczóż ma czekać? Niech tu przyjdzie zaraz. Dzieńdobry Antoniowo, siadajcie, zostanie przecież i dla was coś z obiadu. A co to za interes macie do mnie?

Staruszka ukloniła się z uszanowaniem. Ksiądz proboszcz siedział przy małym, okrągłym stoliku, przykrytym białym, jak śnieg, obrusem. Jedyny to był zbytek, na który Janowa mogła sobie pozwolić, chociaż nieraz i na mydło z trudnością zdobywała pieniądze. Latem podczas pogody, stół ten zwykle przysuwał się do okna, ksiądz proboszcz sypał zaraz na nie okruszyny chleba, a wróble żarłoki czasem aż na stół wskakiwały i dziobały łapczywie resztki z półmiska. Antoniowa przysunęła się i usiadła na rogu krzesła, mówiąc:

— Upadam do nóg księdza dobrodzieja, ja już po śniadaniu, jeść mi się nie chce.

Coprawda śniadanie, złożone z filiżanki mleka i kromki suchego chleba, nie odebrało jej apetytu, ale wiedziała, że obiady księdza proboszcza nie bywały zanadto obfite.

— O cóż to wam idzie, Antoniowo? — pytał ksiądz.

— To ta biedna Rozalka czuje się dziś słabsza i obawia się, aby dobrodziej nie spóźnił się z Panem Bogiem.

— Rozalka! Miałem właśnie iść do niej po obiedzie, ale jeżeli jej tak śpieszno, to idę zaraz — i proboszcz otarł śpiesznie usta serwetą, rzucił ją na stół, zdjął kapelusz z kołka i do drzwi się zwrócił, gdy wpadła Janowa, wołając z przerażeniem:

— A kotlet! Na miłość Boga, niechże jegomość nie idzie bez kotleta!

— Niech postoi na ogniu, Janowa, zjem go jak powrócę.

— Tak! wyschnie tymczasem, jak podeszwa.

— To go zjedz sama, póki miękki, moja kochana.

Janowa obiema rękami chwyciła się za głowę.

— Jegomość kiedyś głodem się zamorzy! — wołała z rozpaczą — a toż świętej cierpliwości potrzeba!...

— Dobrodzieju... — odezwała się pokornie Antoniowa.

— Czego chcecie, moja kochana?

— Chciałabym jeszcze, proszę dobrodzieja... wielka to śmiałość z mojej strony, ale mam tu... niech mi dobrodziej tej łaski nie odmawia...

— Ale nic nie odmawiam, powiedzcie tylko, czego chcecie, moja Antoniowa.

— Ja bo nic nie chcę, tylko sama przyniosłam...

— Jakiś podarunek dla mnie? Cóż to znowu, pewnie ta paczka zielona? Zbytki jakiegoś, ej, Antoniowa! — i palcem pogroził.

Staruszka rumieniła się, jak młoda dziewczyna, włożyła zawiniątko w ręce księdza i mówiła z zakłopotaniem:

— Niech dobrodziej tę śmiałość wybaczy... i przyjmie dobrem sercem...

— No no, obaczmy...

Rozwinał paczkę, spojrzął... i obaczył własne swoje wiśnie! Znał je aż nadto dobrze; od kilku tygodni przecież codziennie im się przypatrywał, znał dokładnie kształt niemal każdej jagódki z osobna. Jedna miała szypólkę krótszą od innych, drugą, pomimo czujności jego, owaś jakiś lekko nadweryżył, ta znów była podłużna, tamta ciemniejsza z jednej strony, inna odznaczała się plamką ledwo dostrzeżoną. Mógłby był każdą nazwać po imieniu, tak prawie jak dzieci, przychodzące na katechizm.

Uśmiechnął się ksiądz proboszcz, bo zrozumiał odrazu, jaką drogę odbyły te wiśnie od rana nim powróciły do niego.

— Tak to już Pan Bóg chciał widać — pomyślał w duszy — ażeby przy mnie zostały. Niema co, trzeba będzie je spożyć i podziękować Panu Bogu, co też uczynię z prawdziwą przyjemnością.

Nie powiedział jednak Antoniowej, że wiśnie wyszły z jego własnego ogrodu, podziwiał ich piękność, jakby je widział po raz pierwszy, w czym nawet z prawdą się nie mijał, bo rzeczywistość jagody wydały mu się teraz jeszcze daleko piękniejsze, szczerze był niemi zachwycony.

— Pyszny będzie deser — rzekł na zakończenie — nigdy w życiu nie miałem podobnego. Dziękuję ci, serdecznie dziękuję, moja pocziwa Antoniowo; słońce przygrzewa, zmęczone się i zgrzeję, a jak powrócę, toż mi te wisienki będą smakowały! Ej, Antoniowa! będziesz miała na sumieniu, jeżeli zgrzeszę łakomstwem.

Ksiądz proboszcz śpiesznie poszedł do mieszkania Rózi, udzielił biedaczce pociechy religijnej, a załatwiwszy ten świątobliwy obowiązek, wolnym krokiem powrócił do domu. Parę razy zatrzymywał się po drodze i wypoczywał, bo pierwsze upały wiosenne męczące bywają dla starców, przytem dodać trzeba, że godzina obiadowa księdza proboszcz oddawna minęła i głód mu się czuć dawał dotkliwie. To też zdjąwszy kapelusz, zaraz wszedł na próg kuchni i spytał:

— Cóż tam, moja Janowa, czy jest ten kotlet dla mnie?..

— Aha, kotlet! — mruknęła stara gospodyni nadąsana — niema już kotleta.

Zjadłś go sama? Dobrze zrobiłaś, moja Janowa.

Aha! zjadłabym ja tam sama taki kotlet, czy to na moje zęby? Trzymałam go na ogniu z godzinę, aż wysechł, jak róg; tymczasem przyszedł ślepy Wawrzyniec, a ja mu kotlet oddałam. On ma dobre zęby, schrupał go doskonale i kość oddał psu.

— Bardzo dobrze zrobiłaś, Janowa, bardzo pięknie i Bóg cię błogosławić będzie za ten miłosierny uczynek. Ja wprawdzie głodny jestem, ale to mięso mogłoby mi zaszkodzić w taki upał.

— Ej, nie zaszkodziłoby z pewnością, byłby jegomość jadł ze smakiem; ale ja to naumyślnie zrobiłam, bo byłam zła; któż widział zrywać się od stołu w połowie obiadu?

— Czyż nie słyszałaś, że ta biedna Rozalka...

— Rozalka mogła mogła była poczekać, nicby jej się nie stało.

— O, Janowa, Janowa! To się nie godzi!

— Czysta prawda, i przepraszam jegomości pokornie. Ale to także się nie godzi tak o sobie nic a nic nie pamiętać.

— Widzisz, Janowa, że Pan Bóg za to o mnie pamięta. Tyś mnie chciała głodem ukarać, a ja przecież nie będę głodny, mam te prześliczne wiśnie, przyniesione przez Antoniową, zarobiłem na nie i zjem wszystkie, co do jednej. Jest tam na stole i kawałek świeżutkiego chleba, będę miał pyszną ucztę, dobrze się stało, że Wawrzyniec dostał kotlet

i kosteczkę dla psa. Tylko że tych wisien za dużo dla mnie jednego, dostaniesz i ty trochę, moja kochana.

Ksiądz proboszcz otworzył drzwi do jadalnego pokoju. Wtem nagle dał się słyszeć szelest gwałtowny, jakby skrzydełek ptasich, towarzyszył mu świegot hałaśliwy i spłoszone liczne stado wróbelków wyfrunęło ze stolika przez okno otwarte do ogrodu.

— Cha cha! — zaśmiał się ksiądz proboszcz — nie popałem im okruszyn na oknie, przyszły dziobać na stole. A to łakoma zgraja!

Lecz zbliżywszy się do stołu, umilkł nagle i stanął, jak wryty. Liście kapuściane leżały na stoliku porozciągane, pomięte i poszarpane, wisien nie pozostało w nich ani śladu, jedna tylko, jedyna, owa jagódka o krótkiej szypułce, zasunęła się przypadkiem pod talerz i uchowała się przed żarłoczną zgrają. Obrus cały powalany był sokiem wiśniowym, tu i owdzie walały się odziobane pestki obok okruszyn chleba. Ochłonawszy ze zdumienia, ksiądz proboszcz parsknął śmiechem.

— A łotry, hultaje! Toż się uraczyli!

Janowa wpadła w gniew straszny.

— I któż temu winien? — wołała — jegomość sam zawsze winien wszystkiemu. Kto to widział przywabiać tę hołotę do pokoju? Wróble, to także same szkodniki, jak myszy.

Ułagodziła się w końcu i przypomniała sobie, że biedny proboszcz nic nie jadł. Poszła więc do spiżarni, ukroiła dużą kromkę chleba, nasmarowała grubo konfiturami z borówek, jak to się zwykle robi dla dzieci na podwieczorek, i w milczeniu skromny ten posiłek postawiła na talerzu przed proboszczem.

Posiliwszy się chlebem z konfiturami, ksiądz proboszcz wypoczął trochę, niedługo, bo nadeszła godzina katechizmu, więc wstał znowu, zabrał z sobą ostatnią wisienkę, niedojedzoną przez wróbelki i poszedł do dziatwy wiejskiej, która hurmem zesłała się na plebanią. Pokazał wiśnię dzieciom, trzymając ją za krótką szypułkę i rzekł:

— Kto najlepiej odpowie na wszystkie pytania, dostanie tę jagódkę w nagrodę. Patrzcie, czy nie ładna? A smaczna być musi.

Na nagrodę zasłużył mały chłopaczek jasnowłosy i sam jak wiśnia zarumieniony z radości, przybiegł po nią do księdza. Ten jedną ręką go pobłogosławił, drugą włożył mu w usta piękną wiśnię, którą chłopczyk spożył z rozkoszą i uszczęśliwiony pobiegł do domu. Na tem się kończą dzieje wisien księdza proboszcza.

M. J. Z.

Żmija afrykańska (*Vipera arietans*).

Okaz ten jeden z najbardziej odrażających, nosi nazwę „żmii uderzającej”, niekiedy bowiem uderza głową i ogłusza swą zdobycz, zanim ją pochwyty; pochodzi z Afryki, którą słusznie nazwać można ojczyzną żmij. Ciało ma krótkie i grube, rzadko dłuższe nad dwa łokcie, szyję znacznie cieńszą, ogon krótki stożkowaty, głowę szeroką, krótką, mocno spłaszczoną, przypominającą kształtem serce. Nozdrza szeroko rozwarte, w około ogołoczone z łuski, bardzo do siebie zbliżone, umieszczone są nad samą paszczą, a nie z boku jak u żmij innego gatunku. Tuż ponad nozdrzami znajdują się oczy, więcej od siebie oddalone. Górna szczeka opatrzona jest z przodu i po bokach pękami zębów jadowitych, rurkowatych, końcami ku tyłowi podanych, które się prostują, skoro zwierzę pasczczę otwiera, po ukąszeniu zostawia w ranie jad, który niezmiernie szybko rozchodzi się po organizmie. Wierzch ciała tej żmii pokrywa łuska kształtu kwadracików, najczęściej brunatna, która na grzbiecie tworzy szereg pasów jasnych i ciemnych. Spotyka się tę żmiję naj-

częściej leżącą nieruchomie i tak jest leniwą, że pozwala zbliżyć się do siebie na parę kroków, nie ruszając się z miejsca, głód jedynie lub niespodziany napad, wyprowadza ją z tego odrętwienia. Wtenczas staje się nagle ruchliwą i sprężystą. Nieprzyjaciółmi jej są borsuki, bociany i sójki. Skoro jest zaczepioną, gotuje się natychmiast do obrony: wspina się, odrzuca głowę, zwijając szyję w kształcie litery S, wydaje głośne, przeciągłe syczenie. Język widełkowaty nieustannie się wysuwa, oddech staje się szybszy i nakoniec z paszczą szeroko roztwartą, rzuca się jak strzała na nieprzyjaciela; żywi się przeważnie małymi ssąciami zwierzętami, jak, szczury, myszy, wiewiórki i t. p. lecz chętnie też pożera ptaki. Rzuciwszy się na swą zdobycz, zatapia w niej długie, haczykowane zęby, potem szybko się odsuwa, jakby śledząc działanie zapuszczonego jadu, ofiara zaś pada niezwłocznie jakby tknięta paralizem. Wówczas żmija zwolna się przyczółgawszy, pochłania ją szybko. Po takiej uczcie, obejść się może bez pożywienia do trzech tygodni. Twierdzą iż Hotentoci, których kraina przepelnioną jest temi gadami, zatruwają swe strzały ich jadem.

WSPOMNIENIE LAT DZIECINNYCH.

Jakież to błogie lata dziecinne,
Tak od późniejszych odmienne... inne...
Wszystko tak bawi, cieszy i wzrusza,
Pełna uniesień, zachwyty dusza.
Choć łezka spadnie, to wnet obsycha,
I pierś spokojnie dalej oddycha;
Szczęśliwe lata! Boże kochany!
Co za zabawy, marzenia, plany...
Dziewczę laleczkę do serca tuli
Śpiewając słodko: luli, oj luli,
Chłopczyk konikiem bawi się mile,
I szybko płyną swobody chwile.
Zawsze rozrywkę wynajdzie dziecko,
Czy to wśród zimy, czyli to w lecie.
Bałwan ze śniegu sztywny i prosty,
Z piasku pałace, z drewniek mosty,
Z trawy pierścionki, z jagód korale,
A jakie uczy! a jakie bale!...
Lecz później za to całym szeregiem
Złote marzenia nikną z lat biegiem.
Pierzchają złudzeń urocze chwile
Jak różnobarwne, piękne motyle,
Znika sen słodki jak mgła niebieska,
Lub jako rosy przeczysta łezka.
Lecz nie wspomnienia zatrzeć nie zdoła,
Wszystko na świecie, wszystko dokoła
Budzi wspomnienie: kwitnące krzewy,
Kwiaty i zioła, ptaszęce śpiewy...
Urok młodości tak zawsze miły
Trwa z nami wiecznie — aż do mogiły.

Helena Bojarska.

POGADANKI NAUKOWE.

II.

Podczas pięknej pogody, Leos z ciekawością spoglądał na słup dymu, wychodzący z wysokiego fabrycznego komina.
— O czem to myślisz synku, zapytał go ojciec.
— Chciałbym wiedzieć, gdzie się unosi ten dym i co się z nim stanie.
— W tym dymie — rzekł ojciec, znajduje się para wodna, która połączy się w górze z obłokami, powstałymi również z pary wodnej, a małe kawałki sadzy opadną z czasem

na ziemię. Dopóki obłoki będą lekkie, unosić się będą nad ziemią, ale skoro zgęstnieją, spadną w postaci deszczu.

— Czy chciałbyś wznieść się tak wysoko jak ten obłok? — rzekł ojciec, wskazując na zachód.

— Oj! bardzo — rzekł Leoś, ale jest to rzeczą niepodobną.

— Jakto, to nie wiesz, że ludzie mogą unosić się w powietrze?

— Czy to być może? — zawołał zdziwiony Leoś.

— Może — odparł ojciec, posłuchaj co ci opowiem; jeszcze bardziej się zdziwisz, kiedy się dowiesz, że wynalazcami tej jazdy powietrznej byli dwaj chłopcy nie starsi od ciebie. Zwali się oni Mongolfier i byli synami fabrykanta papieru. Najulubieńszą ich zabawą, było klejenie woreczków z cien-

już na otwartem powietrzu, chciał się bowiem przekonać, jak wysoko balon wznieść się zdoła. Wkrótce balon, wypełnił się, napęczniał, a wtedy Mongolfier odciął sznurek, przytrzymujący go do ziemi. Prawie w mgnieniu oka balon wzniósł się tak wysoko, że go już dojrzeć nie było można i spadł kilka mil od miejsca, w którym go puszczono. Bardzo prędko rozeszła się wieść o wynalazku młodego Mongolfier'a. Panujący wówczas we Francji król Ludwik XVI, kazał go zaprosić do Wersalu i polecił powtórzyć doświadczenie w swjej obecności. Mongolfier dla większej trwałości skleił teraz balon z płótna i u spodu jego przymocował klatkę, w której znajdowała się owca, kogut i kaczka. Kiedy balon spadł, wypuszczono z klatki zwierzęta, które nic w tej powietrznej podróży nie ucierpiały. Odtąd było pewną rzeczą, że i człowiek w powietrze wznieść się może.



Żmija afrykańska.

kiego papieru i puszczanie ich w górę. A czy wiesz jak w tem sobie radzili? Po zrobieniu woreczka trzymali pod jego otworem zapaloną świecę, tak iżby ogrzało się powietrze, znajdujące się w jego wnętrzu, poczem kiedy powietrze się już ogrzało, a woreczek się wydał, usuwali palce, któremi go przytrzymywali. W tej chwili ku wielkiej ich radości, woreczek wznosił się do sufitu. Nie radzę ci wszakże powtórzyć tego doświadczenia, bo mógłbyś się poparzyć, a nawet wznieść pożar. Dość że wiesz, kto pierwszy wpadł na myśl wynalezienia balonów. Ale posłuchaj dalszego opowiadania.

Kiedy dwaj bracia dorośli, starszy zaczął się zastanawiać, dla czego woreczki wznoszą się w górę? i tak zrozumiał: Zapewne dla tego, że ogrzane powietrze, jakim je wypełniłem, jest lżejsze od zwyczajnego, a jeśli ciepłe powietrze unosi lekki woreczek papierowy, to może unieść 10 a nawet sto razy od niego większy; a chcąc sprawdzić swe przypuszczenie, skleił z papieru bardzo duży worek, który nazwał balonem. Jedna świeca nie mogła dostatecznie ogrzać tego dużego worka, wziął więc sporą garść słomy i takową ostrożnie pod otworem balonu zapalił. Doświadczenie to odbywał

Dziś do wypełnienia balonu nie używają już ogrzanego powietrza, lecz gazu, służącego do oświetlania, który jest bardzo lekki, a przy jego pomocy można się wznieść do wysokości 10,000 metrów, to jest kilka razy wyżej niż najwyższe góry na świecie.

Przez długi czas balony służyły tylko za zabawkę, puszczali się niemi ludzie odważni, chcąc wzbudzić podziw ogółu; ale podczas ostatniej wojny francuskiej, balony oddały wielką przysługę Paryżowi, oblężonemu przez Prusaków. W Paryżu co dni parę puszczano duży balon, do którego przymocowana była paka z listami i klatka z gołębiami. Balon wznosił się bardzo wysoko, a pchany powiewem wiatru spadał częstokroć na ziemię o 20 do 30 mil od Paryża. Wtedy przeznaczeni do tej służby urzędnicy, wyjmowali listy i zabierali gołębie. Listy rozsyłano na pocztę pod wskazanymi adresami, gołębom zaś przywiązywano pod skrzydłami listy z odpowiedzią i puszczano je w powietrze; te natychmiast kierowały się z powrotem ku Paryżowi, a po odbytej podróży siadały w swym gołębniku. Bo trzeba ci wiedzieć Leonie, że gołąb bardzo jest przywiązany do miejsca swego

urodzenia; choćbyś go jak najdalej odniósł od gołębnika, to puszczony na swobodę natychmiast lot swój ku niemu skieruje. W ten sposób Paryż, w czasie ostatniej wojny, utrzymywał korespondencję z całą Francją.

Największą wadą dzisiejszych balonów jest to, że zawsze płyną po powietrzu w kierunku wiatru, a że wiatr bardzo często się zmienia, więc i kierunek balonów jest bardzo zmienny. Dziś ludzie suszą sobie głowy nad wynalezieniem sposobu kierowania balonami. Czy go wynajdą niewiadomo, ale jeśli wynajdą, to wtedy po powietrzu będzie można tak jeździć balonem, jak dziś jeździmy powozem po ziemi.

Henryk Wernic.

Dwaj przyjaciele.

— To ty, Piotrze?

— To ty, Tomaszu?

I dwaj chłopcy rzucili się sobie na szyję, szczęśliwi z niespodziewanego spotkania.

Działo się to we Florencyi, w pierwszych latach siedm-nastego wieku.

— Cóż ty tu robisz w naszym mieście? — pytał Tomasz.

— Uciekłem z Cortony i szukałem cię przyjacielu, teraz ty powiedz mi jak ci się tu powodzi — odpowiedział przybyły.

— Doskonale, niema lepszego rzemiosła na świecie, jak być kuchcikiem u dobrego pana. Jestem zupełnie zadowolony z mego losu — zapewniał wesoły Tomek — i doprawdy boję się bardzo czy nie utyję zanadto, zjadając tyle przysmaków.

— Przyszedłem właśnie zaradzić temu i to natychmiast — przerwał mu Piotr — pożyw mnie, bo nie jadłem od wczoraj.

I dwaj chłopcy, z których żaden nie miał więcej nad lat dwanaście, skierowali się ku mieszkaniu Tomasza.

Służył on w pałacu kardynała Sachetti, tam więc weszli, a drapiąc się po wysokich i niewygodnych schodkach otworzyli nareszcie izdebkę na poddaszu, w której sypiał mały Tomek.

Izdebka była ciasna i niska, ale przyzwyczajonemu do niewygód chłopcu, wydała się doskonałą.

— Pozwolisz mi tu zostać? — zapytał Piotruś.

— Czy pozwolę? — odpowiedział, ściskając z radością przyjaciela Tomek, i pobiegł do kuchni po zwykłą żywność.

Obiad był tak obfity, że nasycił obydwoh.

— No, a teraz powiedz mi co myślisz robić? — zapytał gościa gospodarz.

— Myślę się uczyć rysować, a potem malować — odparł bez namysłu Piotr.

Tomek pokręcił głową.

— Zawsze ci te mazaniny w głowie, smarowałbyś lepiej masłem po papierze jak ja, upieczonoby na nim wyborne ciastka, a tak...

— A tak będę malarzem — przerwał mu Piotr i na tem skończyła się pierwsza artystyczna sprzeczka dwóch pastuszków toskańskich z Cortony, z których jeden miał pozyskać sławę znakomitego rysownika, a drugi wypróbowanego przyjaciela.

Bo potrafił nim być Tomek. Wiernie dzielił z Piotrem każdy kęs chleba. Z początku obaj nie mieli ani grosza, Piotr więc węglem rysował na ścianie swoje obrazy; ale w nagrodę pilnych usług dostał nareszcie Tomasz trochę pieniędzy i odniósł je wszystkie koledze, a ten miał za co kupić sobie papieru i ołówków. Odtąd młody artysta siadywał całymi dniami w pięknych florenckich kościołach i przerysowywał obrazy, a w wieczór wierny Tomek karmił go przysmakami, które dostawał od kucharza, a które chował dla przyjaciela, podziwiając z pokorą wielki jego talent i obchodząc się często sam najprostszym pożywieniem.

Zdarzyło się raz, że kardynał Sachetti, postanowiwszy przestawić swój pałac, oprowadzał sam po nim budowniczego, któremu powierzał robotę.

Weszli więc obaj panowie i do izdebki, zajmowanej przez dwóch pastuszków z Cortony.

Z największym zdumieniem, ujrzeli tam rysunki Piotrusia. Wezwany dla wytłómaczenia ich Tomek, przeląkł się okropnie, ale zapominając o sobie, błagał tylko za przyjacielem.

— Miej litość nad Piotrusiem! — wołał czołgając się u nóg kardynała, to ja zawiniłem pozwalając mu bazgrać po ścianach.

Ale jakież było zdziwienie biednego chłopca, kiedy te bazgroty właśnie, z rozkazu kardynała, starannie na ścianach zachowanymi zostały, a młody Piotr z Cortony, obsypany pochwałami, miał teraz zapewnioną pomoc w nauce, która mu dała pieniądze i sławę. On to malował w Rzymie piękny sufit w pałacu Barberinich. Zwano go zawsze Piotrem z Cortony, a w pięćdziesiąt lat potem Toskania szczyliła się dwoma znanymi i uwielbianymi przez wszystkich starcami. Jeden z nich był chwałą ojczyzny, jako wielki malarz, drugiego pokazywano sobie ze wzruszeniem, mówiąc: oto wzór przyjaciela.

Z. B.

WSPOMNIENIA MŁODEGO WĘDROWCA

Z PODRÓŻY NAOKOŁO ŚWIATA.

(Dalszy ciąg).

Dzisiaj wybraliśmy się bardzo rano na nową wycieczkę, zawsze w towarzystwie pana Hith'a, a na ten raz i dwóch jego przyjaciół. Szliśmy trochę głębiej ku środkowi wyspy, żeby zobaczyć prawdziwą, starą wieś dayacką, w pierwotnej jeszcze dzikiiej swój prostocie, jakkolwiek mieszkańcy i tam ulegli pewnemu uobyczajeniu, pod błogosławionym rządem radży, bo też inaczej nie byłoby rozsądnie wybrać się do nich w odwiedzinę. Szło się przez czas długi samemi karczowiskami; niektóre dawniejsze są już bujnie rozwiniętymi plantacyami, inne właśnie teraz karczują, a gdzieindziej urządzono już śliczne warzywne ogrody; wszystko rośnie i rozrasta się bo wody wszędzie dostatek, grunt niesłychanie żyzny a równikowe słońce potęguje do nieskończoności, siłę żywotną przyrody. W dodatku należy i pracę chińską do tamtych głównych działaczy doliczyć; Chińczyków tu jak mrowia, oni karczują lasy, zakładają i pielęgnują plantacje i ogrody. Potem weszliśmy do przepysznego lasu, tak zwarte go, że gótówby każdy chyba przysiadł, iż ludzka stopa nie pozostała jeszcze nigdy w téj dzikiiej gęstwinie. A przecież był to także już, co najwięcej tylko „niby park” jak powiedziano wczoraj na werandzie, gdyż i tu wycięta była ścieżka ale taka ciasna a wysoka na wzrost człowieka, że wszyscy panowie zgodzili się iż może istotnie nie przez zwierzęta lecz przez Chińczyków wyciętą była, dla ułatwienia stosunków między plantacyami. Ścieżka była tak wązka, że z trudnością ścia tylko mogło się dwóch ludzi wyminąć, a zielone ściany po obu stronach tak zwarte i zrosłe płataniną lianów i pasorzyców, a obwieszzone ogromnymi bukietaми kwiatów tak wielkich i świetnych, jakich wcale dotąd nigdzie nie widziałem. Gdyby kto chciał, napadnięty tu przez dzikich ludzi, uciekać albo bronić się, to ani jedno ani drugie nie dałoby się uczynić, bo ani się zamachnąć, ani wcisnąć w gęstwinę jakby kamienną. Duszno było tam nawet i ponuro jak w mysiiej jamie być musi. Aż w tem poniekajim czasie takiego pochodu gęsiego, bo szliśmy jeden za drugim, nagle zmienia się snadź gatunek drzew, których szerokolistne korony nakrywają ciemny ten a długi przesmyk, sklepienie rozstępuje się i jasne światło dzienne wpada w ów korytarzyk, strojąc jego kwieciste ściany w barw świetnych tysiące, a ze światłem

i świeże powietrze do płuc napływa. Nagła ta zmiana tak mię ucieszyła, że bez namysłu, mimowoli, jakby dzieciak jaki wyrzuciłem w górę kapelusza, krzycząc z radości:

— Wiwat światło! *pereat* ciemność! Piekielny wrzask odpowiada mi z góry tak, jakby tysiąc przeraźliwych dzikich głosów przedrzeźniać chciało mój okrzyk, i jednocześnie, w chwili gdy chwytam mój spadający z powietrza kapelusz, uderza mię kokosowy orzech, duży jak głowa dziecka prawie, szczęściem nie w głowę lecz w ramię, grad orzechów spada za tym pierwszym, a wśród wycia, jęków, i chichotów, które nagle las napęłniły, słyszę krzyki moich towarzyszy, idących za mną i przedemną.

— Uciekajmy co sił starczy naprzód! naprzód!.. małpy wzięły wyrzucony w powietrze kapelusz za zaczepkę i odpowiadają orzechami! W nogi albo nas poranią, jeżeli nie ukamienują na miejscu! — Osłaniając instynktownie głowę rękami i kapeluszem, pędziłem jak szalony, prosto przed siebie, czując że za mną i przedemną pędzą także towarzysze, ale i małpy przebrzydłe pędzą za albo raczej nad nami, skacząc po szczytach drzew, jakby jakieś fantastyczne, nie z tego świata, widma i straszidła, i jednocześnie zrywając kokosowe orzechy, bombardują nas ciągle z wrzaskiem ogłuszającym.

— Panie Antoni, gdzie pan jesteś? Czy jest pan Antoni — krzyczę biegnąc.

— Jestem, jestem, uciekaj! — odpowiada uczony zadyuszonym od biegu głosem. Ha, *simiae, primates* *) przekłete, nie muszą to być nawet *simiae satyrus* tutejsze, bo *satyrus* orangutan, choć także za młodu łązi po drzewach póki siła dopisuje, to nigdy przecież nie jest taki złośliwy!..

Musieliśmy nie żałować nóg, jeżeli zdołaliśmy wyprzedzić nareszcie małpy, zatrudnione w biegu, a raczej w skakaniu, rwaniem orzechów: przeraźliwe ich wrzaski zaczęły pozostawać za nami, bombardowanie zmniejszało się, jeszcze kilka co najsilniejszych dotrzymywały nam kroku, ale bomby rzucone w skokach i na szybko biegnących, rzadko trafiały; wtem niespodzianie las się skończył, i my wybiegając zen, popadaliśmy wpół żywi ze zmęczeniem, na ziemię. Spojrzawszy wzajem na siebie i widząc że wszyscy mamy oczy i twarze nietknięte i krwi nigdzie nie widać, wybuchliśmy takim szalonym śmiechem, jakim nie pamiętam, żebym się śmiał kiedy w życiu. Uspokoiwszy się, spostrzegłem dopiero, w pewnej odległości, na środku dużej polany na której znajdowaliśmy się, długi, ale to bardzo długi dom, stojący na palach, z jedną wielką werandą ciągnącą się wzdłuż domu: była to dawna wieś dayacka, do której właśnie dążyliśmy. Widząc nas zbliżających się, wyszedł z środkowych drzwi tego domu stary Indyanin i odbył ceremonialne jakieś powitanie z Hith'em, którego znał; bo też inaczej, Hith nie przyprowadziłby nas tutaj; bardzo to pocziwy chłopak. Indyanin ten był naczelnikiem plemienia i mieszkał jak u nich każdy wódz w samym środku wsi, to jest w środkowej izdebce długiego domu, której drzwi jak wszystkich innych wychodziły na werandę. Izdebek takich we wsi którąś zwiedzili było dziewiętnaście. Wewnątrz, prawie nic nie było, gdyż Dayak żyje więcej na zewnątrz niż w swój skrytce, tylko kilka długich trzciniowych krzeseł czy szesławów, wódz kazał dla nas wynieść na werandę. Werenda jest w takich „wioskach” właściwie niby tem, czem w naszych miasteczkach rynek miejski, a we Włoszech każda nieledwie ulica: wszyscy wylegają tam w dnie pogodne i wszystkie domowe zatrudnienia tam się odbywają. Otoczyło nas może ze sto pięćdziesiąt ludności różnej płci i wieku, przypatrując się ciekawie; chłopcy dorastający, w stroju Adamowym, usiłowali nawet zabrać za mną bliższą znajomość, ale byli tak brudni okropnie, pomimo że niepotrzebowali praczki ażeby być czystymi, iż odsuwałem się od nich mimowoli. Dziewczyny miały ciasne i krótkie spódniczki z grubej tkaniny, którą możnaby porównać do naszego samodziału; starsze kobiety prócz takichże spódnic, pozawieszały na sie-

bie jeszcze mnóstwo różnych gałganów, służących w każdym razie tylko do stroju, nie zaś do okrycia, a nawet miały i błyszczące druty otaczające kibić o jakich już wspomniałem, choć żadna nie miała ich tak wiele, jak owa Minerwa w lesie spotkana.

Podczas gdy panowie rozmawiali z wodzem, spojrziałem przypadkiem w górę i.. tuż nad moją głową, gdyż siedzieliśmy w pośrodku werandy, ujrzałem zawieszone u wejścia do nory czy tam do salonu wodza... siedm, wyraźnie siedm bardzo snadź starych, poczeriałych i dawno wyschłych od wiatru i dymu głów ludzkich... trofeów, oczywiście zdobytych na nieprzyjaciela, przed epoką obecnego rządu. Nie będę siłił się, aby, opowiedzieć ci Wańdziu, moje dalsze wrażenia tego dnia. Byłem tak znużony, że z trudnością mógłbym zdać sobie sprawę z wypadków; zresztą, nie spotkało nas nic tak dalece wartego wspomnienia. Wróciliśmy do hotelu tąż samą drogą, strzegąc się zaczepiać małpy. Nie wiem jak inni, ale ja przynajmniej wróciłem z wycieczki ze zdwojonem uwielbieniem dla dzielnego radzy, który umie utrzymać w pokoju ludzi tak okropnie dzikich i krwiożerczych, że zeschłe głowy ludzkie są im najmilszymi pamiątkami minionej przeszłości. Jutro, bardzo rano wypływamy z Kusing napowrót do Singapore, ponieważ musimy stosować się do ruchu statków, choć sami nie mamy tam nic do czynienia.

J A W A.

Dwunastego Maja, powróciwszy do Singapore drogą, którą z niej wypłynęliśmy, zastawszy w porcie dużo okrętów, nie wylądowując nawet, wprost z naszego statku przesiedliśmy się na „Jaskółkę”. Noc następną mieliśmy jeszcze przespać w porcie, żeby się więc nie nudzić na okręcie przez część dnia pozostającą, zdecydował się pan Antoni popłynąć jeszcze na ląd, choć nie miał interesu do Singapore. Popłynęliśmy zatem, nie zważając że to była niedziela. Ale zawiedliśmy się i wstyd nam było potem i słusznie, (jak powiedział pan Antoni) bo chociaż Chińczycy wyznają buddyzm i religią Konfucjusza, Malajczycy są po większej części mahometanami, w Sarawaka zwłaszcza, a Dayaki jeszcze jakąś odmienną mają religią, wszystko to pomieszane jest z tysiącami zabobonami pogańskimi, przecież wszyscy jakby w skutek jakiegoś milczącego porozumienia, święcą wspólnie niedzielę, tak jak mieszkający wśród nich Anglicy, którzy ani jednej setnej części ludności nie stanowią. Jak zaś Anglicy święcą niedzielę musisz przecież wiedzieć siostrzyczko: wszystkie nawet spożywcze sklepy, jadłodajnie i cukiernie zamknięte szczerlnie, choć z głodu umieraj, przy pełnej kieszeni, jeżeli nie masz własnego ogniska lub znajomych. Na ulicach cicho i pusto jakby wszyscy spali. Może to być niewygodnie, dla podróżnych zwłaszcza, nam osobiście dało się to także we znaki, ale, przyznam ci się, że takie ścisłe obchodzenie dnia świątecznego sprawiło na mnie szczególniejsze wrażenie, połączone z pewnym urokiem. Oczywiście rano i po południu musieli tu ludzie ukazywać się choć nielicznie, dążąc do świątyni ale w czasie gdyśmy szli zwolna przez zalane potokami tutejszego słońca ulice, znajdowaliśmy się na nich tylko sami, nie było słyhać najłżejszego szmeru na ziemi ani w niebie, prócz odgłosu kroków naszych, które też tłumiliśmy mimowoli.. miasto wyglądało jakby na głęboki sen zakłętę, z którego tylko modlitwa obudzić je mogła. Czuliśmy się mocno zakłopotani i nie wiedzieliśmy co począć z sobą, na szczęście pan Antoni przypomniał sobie pana Match dobrze znajomego, którego postanowiliśmy odwiedzić chociaż w tak niewłaściwym czasie. Weszliśmy zatem do małego bo obliczonego na jedną tylko rodzinę domu, nie dzwoniąc lecz skradając się cicho jakbyśmy co złego zamierzali; szczęściem drzwi do sieni były tylko na klamkę zamknięte; dalej jednak nie wiem co by było, bo jakże do cudzego mieszkania wchodzić w tak dziwny sposób; tymczasem wypadek tak nadzwyczajny jak otwarcie i zamknięcie drzwi wchodowych w niedzielę, zwrócił ogólną w domu uwagę i cała rodzina Match'ów otoczyła nas nagle. Naśmiano się serdecznie z naszego kłopotu, za-

*) *Primates naczelne*, nazwanie małp jako zwierząt pierwszorzędnych pod względem inteligencji.

prowadzono na chłodną od strony ogródka werendę, a później zaproszono do obiadu, na który dzieci, a jest tego pół tuzina, prosily skacząc i wołając „*Pudding-time! pudding time!*” Czy uważasz co to znaczy? Oto ten ich narodowy *pudding*, słodkie ciasto z łojem wołowym, oblane arakiem i zapalone w płomieniu stawiane na stół, jest u nich tak koniecznym dodatkiem niedzielnego obiadu, że dzieci w niedzielę przywykły mówić „czas na puding, prosimy na puding”, zamiast „na obiad”. Mają zresztą słuszność zapraszając tak natarczywie, gdyż puding jeżeli musi czekać i arak się w nim wypali, dużo traci, chociaż i w najlepszych warunkach, jest to przysmak za... jak-by to powiedzieć?... oto może za *gruntowny* dla mnie, a może nawet i „dla nas”. Pewny jestem że i ty Wandeczko, nie mogłabyś jeść potrawy tak tłustej tak samo jak nie możesz i ja nie mogę jeść opływającego krwią bewsztyku. A jednak angielskie dzieci tem tylko żyją prawie, i wyglądają jak ja-błuszka, jak te rumiane aniołki na Rafaelowskich obrazach... Dzieci Match'ów takie właśnie były i niezmiernie mi się podobały, chociaż to wszystko jeszcze malce, krzykliwe ale przytem na prawdę uprzejme, to też zrozumiałem gdy później objaśnił mi pan Antoni, że nie są one kapryśne, tylko śmiałe i chowane rozumnie. Każde z nich mówi głośno, odpowiada na zapytanie bez namysłu, patrzy pytającemu prosto w oczy, ale na najłżejsze skinienie ojca lub matki spieszenie staje się posłusznem, jak giętka trzcina pod powiewem wiatru. Nie wiem czy mię dobrze rozumiesz, gdyż nieudolnie może się wyrażam Wandeczko, ale zajęły mię bardzo te dzieci, bo rozkosz była prawdziwa patrzeć na nie. Gdy panu Antoniemu upadła chustka, ja nie zdążyłem jeszcze pomyśleć że należałoby ją podnieść, już wszystkie dzieci ruszyły z miejsc, panienki spojrzwały na chłopców, a chłopcy we trzech od razu na wyścigi skoczyli po chustkę. Widziałem dobrze, jak zaraz potem spojrzwały na rodziców, a ci nieznacznie uśmiechali się do nich i kiwali głową.

(d. c. n.)

ŁAMIGŁÓWKA.

(Od Horpyny dla Gołąbki pocztowej).

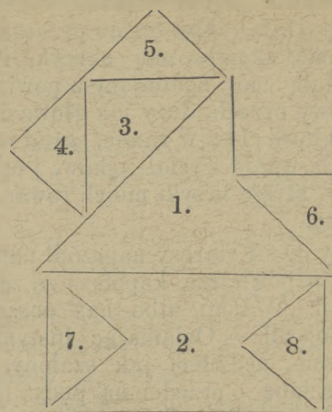
B S K S Z K B A T K P W B O

.....
* * * * *
.....
A Y E L O K A A L K E A S P

Znaleźć 14 wyrazów pięciogłoskowych i ułożyć je pionowo: Środkowe gwiazdki utworzą imię i nazwisko poety. Znaczenie wyrazów: 1. Opowiadanie nieprawdziwe. 2. Barwa. 3. Zwierzęta domowe. 4. Ptak drapieżny. 5. Kruszec. 6. Mały konik. 7. Miasto w Ameryce. 8. Imię żeńskie. 9. Przekopanie w górach. 10. Zwierzę domowe. 11. Ptaki. 12. Rzeka w Polsce. 13. Ptak. 14. Mieszkanie bogów.

Łamigłówka geometryczna.

(ułożył Wejdwutras dla Cyganecki z nad Wisły).



Wykrajając z tekturki w dowolnem powiększeniu 8 części, które wskazują numerą podanego obok wzorku i ułożyć z nich figurę w kształcie krzyża. Można to wyrysować także na papierze oznaczając pojedyncze części kreskami i liczbami.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 33-go.

Zadania konikowego:

Odleciały już bociany,
Polskiej strzechy gospodarze;
Już i żóraw rzuca strażę,
W klucz powietrzny zawiązany.
I już tylko od jeziora,
Słychać jeszcze wrzask kaczora;
Lub szum długi, gdy gromada,
Już wędrownych gęsi spada.
„Pieśń o ziemi naszój”, W. Pola.

Łamigłówki kryształowej:

W
K I J
N I T K A
B R E S C I A
W I T S T W O S Z
C H E W I O T
B R O D A
O S A
Z

MARYA MATUSZEWSKA przełożona pensyi żeńskiej

przy ul. Leszno Nr. 28 w Warszawie.

Zawiadamia, że przyjmuje uczennice przychodnie i pensyonarki na warunkach przystępnych.

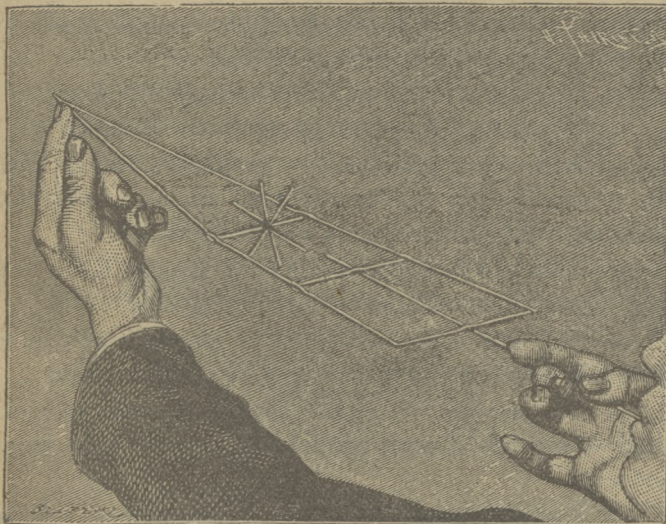
3—2

TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne (z drzew.)—Wiśnie księdza proboszcza, z opowiadania księżny Kantakuzen Altieri p. M. J. Z. — Żmija afrykańska (z drzew.)—Wspomnienie lat dziecińczych, wiersz p. Helenę Bojarską.— Pogadanka naukowa p. Henryka Wernica. — Dwaj przyjaciele. — Wspomnienia młodego wędrowca z podróży naokoło świata (c. d.) — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Dobry chłopczyk, wiersz (z drzew.) — Zabawki domowej roboty (z drzew.) — Nieszczęśliwa wiewiórka. — Na wakacjach p. Bronisławę Porawską. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Goście ciotki Klotyldy, p. Mrs. Molesworth, przełożyła z angielskiego T. P.



DOBRY CHŁOPCZYK.

— Prędzéj! ach prędzéj mleka! — zawołał Anteczek
 Wpadłszy z dzbankiem do obór gdzie dojono krowy,
 Natychmiast napełniono mu mlekiem dzbaneczek,
 Ale głową pokręcił Jacenty domowy:
 — Oj swawola paniczu, to pewno dla kota,
 A pilno, jakby głodne było to kocisko...
 Toż zatyje niedługo z tych pieszczot niecnota...
 I zrzędząc szedł Jacenty za Antosiem blisko;
 Spojrzy, aż Antoś w parku w ogrodzenie stuknie...
 Wysuwa dzbanek z mlekiem gdzie biedny sierota
 Zwykł żebrać... kiwnął ręką Jacenty i mruknie:
 — Et... zrzędziłem niesłusznie... toż to nie dla kota...



Zabawki domowej roboty.

W dalszym ciągu zabawek podajemy wzór młyńka złożonego z jednego tylko źdźbła żytniej słomy,

przy pomocy jedynie scyzoryka i odrobiny cierpliwości. Jak zwykle, tak tym razem radzimy uważnie przypatrzeć się rycinie, która podaje dokładny wzór zabawki jakkolwiek w zmniejszeniu. Następnie należy wyszukać słomę całą, nie zgniecioną, z której odcina się od strony korzenia, kawałek na 16 centymetrów długi, jest to część, którą na rycinie trzyma ręka prawa, a usta w nią dmuchają. Z tego samego końca słomy ucina się dalej dwa kawałki po 7 centymetrów długie, które rozciąć należy na cztery części, głęboko na 4 centym. Rozcięte końce załamuje się na zewnątrz, w kształcie gwiazdki, a tworzyć one będą sam młynek. Dalej bierze się zawsze z tego samego źdźbła, kawał słomy długości 72 centym. zgina się go zręcznie w trójkąt równoramienny, którego podstawa będzie miała 10 a boki po 30 centym, trójkąt zamyka się, wkładając nachylony na 2 centym. cieńszy koniec słomki w jej koniec grubszy. Reszta słomki dostarczy dwie poprzeczne części, cieńsza posłuży jako oś do przygotowanego poprzednio młyńeczka, którego obie części wsuwa się na nią promieniami do siebie, tak, aby utworzyły osmiopromienną gwiazdkę, drugą poprzeczną umieszcza się niżej. Końce zaś obu tych słomek, osadza się w nachylonych bokach trójkąta. Przygotowaną najpierw rurkę do dmuchania, przesuwają się przez rozciągniętą słomę w podstawie trójkąta i przez poprzeczną; a teraz, dmuchajmy w rurkę a młynek będzie się obracał. Zabawka ta udać się musi, jeżeli jest dokładnie zrobiona; starszemu rodzzeństwu, które zna miarę metryczną, łatwo ją będzie złożyć, ku uciechu malców.

Nieszczęśliwa wiewiórka.

Żwawa ptaszyna uwiła sobie w gaju gniazdeczko wśród liści, wysłała je miękko i zniosła w nie pięć ślicznych, maleńkich jajeczek, a potem wysiadywała je troskliwie, nie dopuszczając najmniejszego wiatorku, ani najłżejszego chłodu, aby się pisklątka w jajeczkach nie pozaziębiały. Pomagał jej w tem mężulek, troskliwy bardzo dla przyszłych dzieci, często jednak musiał odlatywać, ażeby się pożywić i dla żoneczki, nie mogącej jaj opuścić, przynieść żywność.

Ptaszyna, młoda mateczka, była bardzo czynna zabiegła i przeto mimo troski i znużenia, nieźle jej się wiodły domowe sprawy, ale w tem pewnego ranka, budząc się z lekkiej drzemki z przytulonemi do piersi jajeczkami, zadrżała i o mało z gniazdka nie wypadła na ziemię z przerażenia. Tuż przed gniazdem naprzeciw niej, patrząc jej oko w oko, siedział potwór jakiś straszliwy, z paszczą opatrzoną ostremi zębami i z przerażającym olbrzymim ogonem, wznoszącym mu się z tyłu aż ponad głowę. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że potwór miał krwiożercze zamiary względem dzieci. Jakkolwiek przestraszona, nie straciła przecież przytomności, przypomniała sobie nauki matki i pomyślała:

— Nie traćmy odwagi, gdyż niebezpieczeństwo,

któremu zdołamy śmiało w oczy spojrzeć, jest na wpół zwyciężonem. Nie należy także okazywać strachu, aby jeszcze bardziej nie uzuchwalić potwora, owszem należy być grzeczną, bo na grzeczności nikt nie traci — i tak myśląc, choć cała drżąca, młoda mateczka skłoniła główką uprzejmie i rzekła, udając jak mogła, że się nie boi:

— Dzień dobry, nieznajome stworzenie, zapewne przypadkiem zabłąkałoś się w nasze strony i niewiesz gdzie się obrócić; a może ci się pić chce, albo jeść? Otóż powiadam ci, że strumyk prześliczny płynie niedaleko ztąd na lewo, a koło niego znajdziesz dojrzewające zboże; zatem śpiesz tam, jeżeli jesteś głodne.

Tak mówiła ptaszyna, ale potwór ani się ruszył z miejsca, tylko po chwili odpowiedział:

— Tak jest, jeść mi się chce, bo ludzie zburzyli i wyrócili dom mój, w którym były w składach zapasy, uzbierane w pocie czoła przezemnie na zimę, i ja zaledwo uciekłszy z tego nieszczęścia, nie mam teraz gdzie się podziąć ani czem żyć. Zatem siedzieć tu będę i czekać, bo tylko co patrzeć, jak wyklują się twoje pisklęta, a wtedy, chociaż nie mam krwiożerczej natury, zjem je!..

Straszny zwierz wymówił te wyrazy takim okropnym głosem i takim smutnym zarazem, że ptaszynie krew lodem się ścięła w żyłach z przestachu. Wyskoczyła młoda mateczka na gałąź i przyskakując potworowi do oczu, usiłowała mu je wydziobać, aby go odpędzić, ale on oganiał się tylko łapą, albo ostre pokazując zęby, mówił z pogardą:

— Ty nędzne stworzenie, łatwoby mi było zjeść i ciebie, ale nie lubię większych ptasząt, tylko malutkie jadam!.. niechno twoje wyjrzą ze skorupki!..

— Ratujcie! Ratujcie! potwór chce zjeść moje pisklęta! Ratujcie! — tak wołała ptaszyna, a rozpaczliwe jej krzyki przywołały mężulka, a gdy oboje wspólnie krzyczeć zaczęli, nie odpędzili wprawdzie potwora, ale nareszcie usłyszała ich roztropna stara sroka sąsiadka i ukazała się, lecąc pędem na pomoc.

— Co się tu dzieje? — zaświegotała z daleka.

— Zgroza! Okropność, straszny potwór, jakiś rozbójnik leśny chce zjeść pisklęta! — wołały ptaszyny — widzi on, że nie mamy siły go odpędzić, większych ptaków nie odważyłby się napastować.

Sroka owa doświadczona przyleciała, okrążyła kilka razy rozbójnika, wypytała ptaszyny o niego i rzekła, wdychając ciężko:

— Moi kochani, jeżeli ten rozbójnik jest taki nieszczęśliwy, jak powiada, to trzeba mieć nad nim litość, a może wzruszywszy nią skamieniałe serce jego, potrafiemy ułagodzić go i ocalić pisklęta. — Tu rzekłszy, roztropna sroka ukłoniła się nieznajomemu i powiedziała:

— Nieszczęśliwa istoto, domyślam się z opisu nieszczęść twoich, że nie jesteś rozbójnikiem, lecz wiewiórką, której ludzie zniszczyli dom i zapasy, ściąwszy drzewo, w którym je sobie urządziłaś. Wiem, że nie masz ty złego serca, tylko z żalu ostrzysz zębki na pisklęta; pójdzże ze mną, a pokażę ci dom i zapasy nieznaniej ci pokrewniej tobie wiewiórki, którą ludzie żywcem złowili, pójdz i zabierz po niej ten spadek, a może odejdziesz ci gniew, żal, apetyt na pisklęta.

Wiewiórka aż podskoczyła, usłyszawszy to i skacząc pobiegła za mądrą sroką, a znalazłszy istotnie piękne mieszkanie i mnogość wielką zapaśnych orzechów, tak się ucieszyła, że mimo serdecznego żalu za złowioną przez ludzi krewną, osiedliła się w jej własności i zapomniała o polowaniu na pisklęta, gdyż rozbójnikiem nie była z natury. Wtedy doświadczona sroka stara powiedziała do młodszych sąsiadów:

— Pamiętajcie, ilekroć macie do czynienia z kimś, kto się złym wydaje, zbadajcie wprzód, czy nieszczęśliwym on nie jest i wspomóżcie go, jeżeli możecie. Bo choć bywają stworzenia drapieżne z natury, jak kot np. to przecież są inne, które współczuciem wzruszyć można i uczynić lepszymi.

NA WAKACYACH.

— Dzieci — rzekła mama, wchodząc do pokoju, w którym znajdowały się dwie dziewczynki — powiem wam wesołą nowinę.

— Jaką? — zapytały ciekawie obie razem, starsza porzuciła książkę, a młodsza lalkę, i przybiegły do mamusi, powtarzając: — Jaką! jaką!

— Zgadnijcie — rzekła matka, patrząc z uśmiechem na rozjaśnione twarzyczki — to nie trudno, powtarzam, że nowina bardzo wesoła.

— Pewnie nam mamusia da konfitur — rzekła Lucia, młodsza z dziewczynek — albo... cukierków.

— To nie żadna nowina — rzekła Kazia — zresztą, cóż tak wesołego w konfiturach lub cukierkach.

— Więc powiedz ty Kaziu — mówiła mama, zabawiona domysłami dzieci — cóż u ciebie będzie wesołą nowiną?

— Ja myślę... że... że... — zaczęła Kazia, jękając się z obawy aby nie powiedzieć coś równie ważnego jak konfitury i cukierki — myślę, że chyba... może gdzie pojedziemy... nie, ja nie zgadnę, mamo.

— Powiedz mamusiu, powiedz — prosiła Lucia.

— Ciocia na całe wakacje odwiezie do nas...

— Ach! wiem już! wiem! — krzyknęła Lucia, klaszcząc w rączki — ja zgadnę od razu, ciocia odwiezie do nas Julcię i Władzia. Czy zgadłam mamusiu?

— Tak, to i ja mogę zgadnąć — rzekła Kazia, niemniej uradowana od Luci — lecz nie zgadłaś sama.

— Zgadłam — wołała Lucia — mamusia jeszcze nie wymówiła kogo ciocia odwiezie, a ja powiedziałam.

— To jeszcze nie koniec mojej nowiny — rzekła mama — niechże Lucia zgadnie co jeszcze mam do powiedzenia.

— Pewnie ciocia przywiezie cukierków — z figlarnym uśmiechem wymówiła Lucia.

— Wstydź się myśleć tylko o konfiturach i cukierkach — rzekła mama — czyż dla ciebie niema już nic miłszego jak cukierki.

Lucia zakłopotana się nieco.

— Nie mam, przecież ja wolę Julcię i Władzia, aniżeli sto cukierków nawet.

— Wierzę, nie mów więc ciągle o przysmaczkach, bo mogą wszyscy myśleć, żeś... mały łakomec.

— Mamusiu... — szepnęła Lucia.

— Ja wiem że tak nie jest — rzekła mama. — Teraz zaś moje dzieci, powiem wam drugą nowinę, że babcia i dziadziuś, przyjadą do nas także na całe lato i przywiozą z sobą Gucia i Miłę.

— Ach! mamusiu — zawołała Kazia z uniesieniem — jakże się cieszę że Miła będzie, Julcia dla Luci, Władzio dla Gucia, a ja będę miała swoją kochaną Miłę. O, jakież to wesołe będą te wakacje. A kiedy przyjadą mateczko?

— W sobotę — odpowiedziała mama — po ciocię posyłamy konie na dworzec, dziadziusiowie przyjadą od stryjka gdzie są teraz i zabiorą Miłę i Gucia.

— Dziś dopiero środa — rzekła Kazia — ach żeby to już jutro była ta sobota.

— Muszę dziś zaraz zrobić duże pranie dla moich lalek — mówiła Lucia, przejęta ważnością sprawy — trzeba mieć wszystko świeże, żeby Julcia widziała, że moje lalki nie takie morusy jak jój.

— Gdyby Julcia widziała dziś twoje lalki — przerwała jój mama — powiedziałyby z pewnością: jakie też to brudasy te lalki Luci.

— Moja mamó, przecież to nie święto, ani niedziela, to i cóż szkodzi, że moje lalki trochę zasmolone, a tego co powiedziałam o lalkach Julci, ona nie słyszy.

— Najpierw moja Luciu, nie mówi się nigdy źle o nikim choć nie słyszy, a porządek, nie tylko w święto potrzebny.

— Już ja wiem, że Lucia pierwszego dnia pogniewa się z Julcią, a co z Guciem i Władziem, to będą nieustanne swary — rzekła Kazia — obaczy mamusia, co godzina, to nowina.

— Właśnie że nie — zawołała Lucia — nie pogniewam się nigdy, ani razu, chyba że mi będą psocić, no, to trudno mieć cierpliwość.

— Dla gości zawsze grzeczną być trzeba — mówiła mama — a cierpliwość dla każdego jest cnotą niezbędną a tembardziej dla panienki. Niechże więc Lucia pamięta, że dla gościa, trzeba być i grzeczną, cierpliwą. To powiedziaławszy mama wyszła z pokoju, a Lucia odezwała się do Kazi:

— Pomóż mi Kaziu w praniu, nigdy sobie sama nie mogę dać rady. To mi się robi zbyt niebieskie, to żółte, albo nawet brudne, to znów przy prasowaniu, spalę żelazkiem...

— A tak, pamiętam jak to spaliłaś tę białą sukienkę w różowe kwiatki — przerwała Kazia.

— Żelazko było za gorące — westchnęła mała na wspomnienie tak wielkiej szkody.

Kazia dobra była dziewczynka, pomogła więc chętnie siedmioletniej siostrzyczce w jój ważnym zajęciu, a o trzy lata starsza, wiedziała jak z lalczyną garderobą i bielizną obchodzić się należy.

Oczekiwana sobota nadeszła wreszcie, a dziewczynki od samego rana, robiły przygotowania na przyjęcie tak upragnionych gości. Lucia, co chwila biegła do okna

wyglądać, czy nie ujrzy powozu spuszczonego się z góry z pod lasu, a nie zobaczywszy nic, wracała do swego zajęcia. Kazia była cierpliwszą, wiedziała bowiem od mamy, że dopiero koło godziny 6-jej wieczorem, mogą przybyć oczekiwani.

Ach! jakże do szóstej daleko, chyba że zegary się popsęły w całym domu. A tu już wszystko gotowe, lalki Luci mają na sobie śliczne niebieskie perkalowe sukienki, poprane i poprasowane starannie. A i zabawki, aż się błyszczą.

(d. c. n.)

Łamigłówka kryształowa.

(ułożyła Wesoła Krakowianka).

Ułożyć siedm wyrazów tak, aby rząd środkowy i środkowe litery utworzyły nazwisko niedawno zmarłej autorki.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Skorupiak. 3. Nazwa tańca. 4. 5. Podpora starości. 6. Organ wzroku. 7. Samogłoska.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 33-go.

Szarady:

Lew — koń — ja.

Skrzynka do listów.

Gołąbka pocztowa później nieco odpowie i podziękuje za pamięć, wszystkim swoim przyjaciółczkom, które nawet w czasie wakacyj obdarzają ją dowodami swęj pamięci. Tymczasem, aby się nie spóźniły z robótką konkursową donosimy **Tęsknocie za Wisłą i Semiramis**, że każdą rzecz szydełkową, lub szytą, przysłać można, najprzyjemniejsze nam są zawsze takie, które biedne dzieci okryć mogą. Krajać można z wzoru, jeżeli kto inaczej nie umie, szycie może być maszynowe, wymagana jest tylko własnoręczna praca.

Dębince, Polance, Łątce, Bzu Gałazce, Semiramis, M. Ostrom. i Rusałce dziękujemy za pamięć o „Kochanej pani”.

Czemż to kochana **Biedronka warszawska** teraz dopiero korespondentką naszą została? Może to **Malinka** zachęciła ją do tego? a kiedyż ta jagódka sama do nas napisze?

Rusałeczko, adres Gołąbki jest tenże sam co do naszej redakcyi, a nazwisko... słusznie baśń rusałki pomawia o ciekawość.

Krasnolicy dziękujemy za serdeczne słowo, a **Śnieżycę** zapewniamy, że każda jój odezwa będzie mile przyjęta.

Liściki przysłane przez **Jutrzenkę, Złotą Tęczę, Czaplę z nad Gohanki, Złotą Wierzbę i Reginkę** czekać muszą na swoją kolej. Numera żądane przez **Czaplę z nad G.** wysłaliśmy.

Powiastrka **Konwalijki leśnej** będzie także przejrzaną w swoim czasie.

Kochany Kłosku litewski! Napisz gdzie mieszkasz, ile masz lat, jak ci na imię. Mnie na imię Julek, mam 9 lat, mieszkam w Wiedniu, *Mazur z nad Dunaju*.

Kochana Turlutko! Ucieszyłam się twymi liścikami, przepraszam, że tak długo nie odpisałam, ale obawiałam się aby i ten liścik nie zaginął, jak poprzedni do Różyczki białej z Wołynia. Ja mam lat 9, na imię mi Maniusia, jestem jedynaczką i uczę się u mamy. Proszę odpisz mi, tymczasem całuje cię serdecznie *Kureczka z nad Ikwy*.

Kochana Warszawianko! Liścik twój bardzo mię ucieszył, na twe żądanie donoszę, że mi na imię „Andzia” jestem blondynką, mam ciemne oczy i krótkie włosy. Uczę się w domu, umiem się też ślizgać, rodzeństwa mam czworo, najstarszy brat Zygmunt w V-ój klasie, Mania uczy się jeszcze w domu, Teoś młodszy odemnie i maleńka siostrzyczka Janinka, którą wszyscy kochamy. Oczekując odpowiedzi przesyła ci serdeczne ucałowanie *biała Myszka z Płocka*.

Drogi moje: Palmo, Gałązko paproci, i Konwalijko z nad Bobrówki! Żałuję bardzo że liściki wasze nie zostały wydrukowane, może na przyszły raz będziecie szczęśliwsze. Czy jeżdżicie konno? bo ja bardzo to lubię, a także pływam łódką po Radomce i po stawie, i umiem nieźle wiosłować. Napiszcie mi czyście czytały śliczną powieść Orzeszkowej „Nad Niemnem”, którą właśnie skończyłam, i donieście mi co o sobie. Ty droga Konwalijko musisz być bardzo ciekawą, ale choć z przykrością, nie mogę ci donieść tego o co mię prosisz. Co do mojej osoby udzieliłam ci już wszelkich szczegółów jakkolwiek nie znamy się zupełnie. Nie gniewaj się na mnie droga moja i pisz często. Ściskam was wszystkie trzy; *Królewna salin*.

Najdroższa polska Lilijko! Śliczny sobie pseudonym obrałaś, i ja także już Hajduczkiem nie jestem. Do S. wrócimy dopiero w Listopadzie, a ja bardzo za tobą tęsknię. Zbieram się dłużej pisać do ciebie, tymczasem przesyłam ci ucałowanie, jeśli wiesz kto jestem. Odpisz *białej Akacyi*.

Szanownych starsuszek proszę, ażeby zechciały mnie zaliczyć do swego grona i cokolwiek mi o sobie doniosły. Filaretce, Gałązce paproci i Mimozie przesyłam uściśnienia. *Kropelka rosy*.

Kochane: Czaplo z nad Gohanki i Góralko! Piszę do ciebie droga Czaplo, z nadzieją otrzymania odpowiedzi. Czy Kasia już pisała do Wieczorów i pod jakim pseudonymem? Pragnę także korespondować z tobą miła Góralko. Dla czego wybrałaś sobie taki pseudonym i czy masz długie wakacje, bo ja wcale ich nie mam. Proszę o odpowiedź kochająca was *Wisienka z nad Sobu*.

Kochana Sarenko z Mazowsza! Z przyjemnością będę z tobą korespondować. Napisz mi jak ci się podobał „Pamiętnik Wacławski”. Z Józją S. widuję się codziennie i uczymy się wspólnie, swawoląc potrosze. Nie kaź długo czekać na odpowiedź twemu *Fioleczkowi z nad Wisły*.

Moja droga Błyskawico! Sprawiałaś mi wielką przyjemność swoją odezwą, za co ci jestem niezmiernie wdzięczną. Znasz mnie już trochę jak sama o tem donosisz z listu do zwinnej Wiewióreczki, dodam więc tylko, że byłam kilka razy w Żytomierzu, który mi się bardzo podoba, a szczególnie piękne i urocze brzegi Teterowa. Ach! jakżebym chciała znów kiedy tam być, możebyśmy się poznały, a wtedy pokochałabym cię jeszcze więcej. Ściska cię i prosi byś o niej nie zapomniala: *Biała Perelka*.

Kochany Hajduczku! Dziękuję ci żeś do mnie napisał. Nie jestem Lucją M., na imię mi Wańdzia. Nie mam brata Ludomira, ale trzech braciszków, Stasia, Wacia i Kazia. Z najmłodszym którego najwięcej kocham, bawimy się często w koniki. Proszę, napisz mi coś o sobie, tymczasem ściskam cię serdecznie, *Wiewióreczka inflantska*.

Droga Góralko! Jeśliś usprawiedliwiła Krakowiankę, dlatego że jest na pensji to i mnie wybaczysz. Zdaje mi się, że masz lat dziewięć a na imię ci Zosia. Pytałaś mi się, jaka powieść najwięcej mi się podoba, odpowiadam więc, że według mnie „Bohater tebański” i „W imię koleżeństwa” są najładniejsze. Czy masz rodzeństwo i czy pisujesz do Wieczorów? Ja mam braciszka, który

pisuje pod pseudonymem „Gołąbek z pod Pruszkowa” i siostrę cioteczną „Konwalijkę leśną”. Ściskam cię i oczekuję odpowiedzi, *Biedronka warszawska*.

Kochany Hajduczku! Nie możemy oprzeć się pokusie aby nie napisać do ciebie. Przypuszczamy, a nawet prawie jesteśmy pewne, że chociaż nie znamy cię osobiście, widujemy cię jednak w każdą niedzielę w kościele. Proszę cię nie zostawiaj nas długo w niepewności, i odpisz czy nas przeczucia nie mylą. O sobie donosimy ci, że mieszkamy w Golendzinie, a nasze imiona są: Marya i Hanka. Z niecierpliwością oczekują odpowiedzi, *złota Wierzbka i Reginka*.

Okruszynko luba! Podobasz mi się bardzo, proszę więc donieść mi co o sobie, jeżeli zechcesz ze mną korespondować. Mnie na imię Marynia, mam lat 14 i ładny ogródek. Kwiaty i gospodarstwo bardzo lubię. Ty najdroższy Poranku, zachwyciłaś mnie swoim wierszykiem; umiem go na pamięć. Proszę donieść mi czy dawno czytasz *Wieczory*? i jaką dostałaś nagrodę? Bombę zapytuję czy grywa poleczkę, którą sobie za pseudonym obrała. Odpiszcie drogim siostrzyczki, pomnąc na słowa Różyczki białej, „że *Wieczory są łączącym nas ogniwem*”. Wasza *Rusalka*.

Droga Cesi! Niewiem jaki masz pseudonym, ale znam cię bardzo dobrze, twoja mama знаła dobrze mojego dziadka. Dawniej mieszkalałam w Tarnowie, potem w Krakowie, a teraz w Wieluniu. Odpisz proszę *Tęsknocie za Wisłą*.

Zgadłaś kto jestem kochana Gwiazdko z Podola, moja siostra i ja pragnęłybyśmy cię zobaczyć, napisz kiedy przyjedziesz, tymczasem całujemy cię serdecznie, twoja *Rusalka*.

Nie gniewaj się droga biała Perelko, że wśród rozmaitych rozrywek na wsi, tak ci długo nie odpowiadałam. Donoszę teraz, że zimą mieszkam w Warszawie, a latem na wsi. Braci mam dwóch i dwie siostry, a ja jestem najmłodszą, ściskam cię: *zwinna Wiewióreczka*.

Droga Jagódka z Podola zdaje mi się, że jesteś Emilią K. Rok temu starsza moja siostra była u was na balu. Nazywam się Celina K. mam nieskończone lat 13 i mieszkam na Podolu. Zgadnij kto jestem i odpisz *białej Mysze*.

Kochana Helusiu z Wierzbówki! Zgadnij kto jestem i jak się nazywam? Domyślił się łatwo, jeśli ci powiem, że twoja kochana nauczycielka była również moją. Ucałuj i uściskaj ją odemnie. Obierz sobie jaki ładny pseudonym i pisujmy do siebie. Moja siostrzyczka Srocza z Ukrainy chce również do ciebie pisać, ale tymczasem całujemy cię obie, boś mi się podobała z opowiadania panny K. Długich listów redakcyja nie przy muje i dlatego mój jest tak krótki. Czekam odpowiedzi *Czapla z nad Pohanki*.

Droga biała Ostróżko! Z wielką chęcią będę do ciebie pisywała. Jestem o rok od ciebie młodszą, na imię mi Zosia, mieszkam na wsi i mam trzyletnią siostrzyczkę, lubię bardzo, czytać *Wieczory* i inne, zajmujące książki. Całuje cię serdecznie, *biała Chmurka*.

Kochana Akacyo różowa! Nie zgadłaś, na imię mi Jadzia, uczę się w domu, jestem blondynką niebieskooką, mieszkam na Podolu w małym miasteczku Tepliku u babci i dziadunia, których bardzo kocham. Ale niestety rodzeństwa nie mam; napisz mi jak wyglądasz, gdzie mieszkasz, i chcielibyśmy z tobą korespondować, a uszczęśliwisz, kochającą cię: *Złotą Tęczę*.

Droga Niezapominajko z nad Warty! Zgadnij kto jestem? ciebie znam doskonale, na imię ci Wacia, masz lat 14, mieszkasz w Warcie i masz starszą siostrę Manię. Donieś mi czy wyjedziesz na wakacje w okolicę Ojcowca, co teraz czytasz i co ci się najlepiej podoba w *Wieczorach*, bo mnie „Najnowsza powieść Deotymy”. Ja mam lat 13, uczę się domu wraz z mojami dwoma siostrami i mieszkam niedaleko od Warty. Ściskam cię po tysiąc razy, kochająca *Semiramis*.

Kochane: biała Ostróżko i Etno. Ostróżce dziękuję za odpowiedź i donoszę, że mieszkam w ks. Poznańskim na wsi i imię mam żony Napoleona I. Chętnie z tobą Etno korespondować będę. Jestem także szatynką i bardzo lubię muzykę. *Kropelka rosy*.